

Wywiad przy kielichu

Szymon Szymański

Nowy Jork, maj 1921

Frank Smithers uważał, że większość ludzi na świecie to beznadziejne biedaki, których nie stać na porządne ubranie, a co dopiero na wynajem hotelowego apartamentu. Niektórym pewnie udałoby się odłożyć na jakąś podrzędną noclegownię, ale tylko obrotowi przedstawiciele klasy wyższej mogli sobie pozwolić na apartament w Plaza Hotel. Otwarty raptem kilkanaście lat wcześniej, od razu stał się mekką amerykańskiej finansjery, do której należał Frank.

Wywodził się z grupy bajecznie bogatych potentatów naftowych. Jako dyrektor zarządzający kilku rafinerii, rocznie zarabiał setki tysięcy dolarów. Fakt, że był kuzynem współtwórcy korporacji, Waltera C. Teagle, z pewnością miał wpływ na pozycję i zarobki. Ale trzeba też przyznać, że nie tylko odpowiednie koligacje wpłynęły na sukces Franka. Nikt nie był tak skuteczny w urabianiu biedaków, którzy wypruwali sobie żyły na szybach naftowych.

Tego dnia, po odbyciu wszystkich spotkań, Frank mógł wreszcie wziąć się za świętowanie. Bo w Plaza Hotel było gdzie i z kim. Dyrektor imprezował z przytupem, więc odprowadzenie go do apartamentu przyszło konsjerżom z trudnością. Nie dość, że Smithers ważył ponad sto kilo, to jeszcze ledwo się trzymał na nogach. W końcu udało się posadzić go na kanapie w salonie. Służący zdjęli bogaczowi buty, odwiązali muchę spod szyi i dyskretnie wyszli. Frankowi ciągle było mało, więc potoczył się do barku i nalał whiskey. Nie zdążył jednak wypić, bo siarczyście zwymiotował prosto na szklane półki z butelkami. Gdy już się wypróżnił, spojrzał krytycznie na cieknące z baru wymiociny. Skrzywił się i prychnął z obrzydzeniem, bo trochę płynu z kawałkami jedzenia skapnęło do szklanki. Ale komu by to przeszkadzało? Poszło duszkiem, jakby w naczyniu był tylko alkohol bez nieprzewidzianych dodatków.

— Stać mnie — burknął i nalał sobie jeszcze raz. Gdy chciał wypić znowu, zachwiał się i padł na podłogę.

— Jesteś idealny — rozległ się męski głos.

Zaskoczony Smithers rozejrzał się po salonie. Nie po to płacił tysiące dolarów za pobyt w hotelu, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał. Nie był w stanie zawołać obsługi hotelowej, więc na czworaka podreptał do sekretarzyka. Na widok tak niezdarnych ruchów, intruz zaśmiał się pogardliwie. Frank próbował coś powiedzieć, a nawet sprawić wrażenie groźnego, ale bełkotliwe sylaby nie dały pożądanej reakcji. I kiedy tak bełkotał, z trudem, bo z trudem, ale wyciągnął z szuflady rewolwer.

— Głupota jest jak śmierć, hombre — rzekł z rozbawieniem nieproszony gość. — Boli wszystkich, tylko nie ciebie.

Broń się na nic nie przydała, bo dyrektor nawet jej nie uniósł. Zauważył rozmyty kształt i usłyszał cichy szum. A potem ktoś powalił go na plecy i ugryzł w brzuch.

*

Przebudzenie okazało się zaskakująco lekkie. Większość alkoholowych oparów ulotniła się, a głowa bolała, owszem, ale tylko trochę. Gorzej, że Frank siedział na kanapie, a ręce i nogi miał skrępowane. Przy barku stał mężczyzna w kremowej koszuli i spodniach na kant. Błękitne lakierki wskazywały na osobę niezwykle zamożną.

— Jeden lubi zapach róż, drugi jak mu nogi śmierdzą — skomentował intruz na widok zapaskudzonych szklanek i butelek.

— Proszę się częstować, śmiało — zaproponował Smithers, choć nie aż tak spokojnie, jak to sobie wyobrażał. Mimo wszystko serce boleśnie tłukło się w klatce piersiowej, a ręce drżały. Tym razem, wyjątkowo, ze strachu, nie z przepicia.

— Czego pan ode mnie chce? Jeśli chodzi o pieniądze, to na pewno się dogadamy.

Frank nie doczekał się odpowiedzi, a to było jeszcze bardziej niepokojące, niż gdyby napastnik przyłożył mu lufę do czoła. Mężczyzna przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko spanikowanego dyrektora. W jego ocenie intruz wyglądał na niecałe trzydzieści lat i musiał podobać się kobietom. Zawadiacki zarost wokół ust kojarzył się raczej z gangsterami Ala Capone’a niż ludźmi biznesu, a to nie wróżyło niczego dobrego.

— Niech będzie. Pogadajmy. Do rana mamy dużo czasu.

Frankowi odrobinę ulżyło. Nawiązanie rozmowy tworzyło mnóstwo możliwości.

— Jestem Frank Smithers, dyrektor...

— ... zarządzający w spółce Standard Oil of New Jersey — dokończył zdanie mężczyzna. — Od pięciu lat. Wcześniej członek Kongresu Stanowego i działacz partii. Żonaty od dwudziestu lat, pijący od trzydziestu. Dwójka dorosłych dzieci, siódemka wnuków.

Kolejne szczegóły z życia Franka tryskały jak ropa ze świeżo przewierconego złoża.

— Niech pan przestanie, na litość boską. Wie pan o mnie wszystko, rozumiem. A kim pan jest?

— Nazywam się Jayden Bloom.

— Panie Bloom, niech mi pan wreszcie powie, co pan tu robi?

Bloom zaśmiał się szczerze i spojrzał na zegarek.

— Twoja żona bzyka się właśnie z senatorem Kernsem. Co ty na to?

— Chodzi o moją żonę?

— W pewnym sensie. Poczekamy na nią, aż wróci. Amanda podejrzewa, że będziesz jak zwykle nawalony i nie skojarzysz godziny jej powrotu. Ona zresztą też będzie się kiwać, bo też jest alkoholicką, ale ty tego nie zauważyłeś. Tak samo, jak nie zauważyłeś, że od dziesięciu lat puszcza się na lewo i prawo. To już chyba dwunasty facet.

Smithers nie wyglądał, jakby chciał dać wiarę w opowieść o niewiernej żonie, ani też o żonie pijaczce. Postanowił nie drażnić tematu i zagrać na czas. A najlepszym sposobem na zyskanie czasu było gadanie. Oczywiście najlepiej, gdyby gadała druga strona.

— Mogę ci opowiedzieć nawet całą historię mojego życia — zaproponował Jayden.

— Rano to i tak nie będzie miało znaczenia.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak groźba. Frankowi nie udało się wymyślić błyskotliwego komentarza.

— Dwadzieścia pięć lat temu sięgnąłem dna — Bloom zaczął opowieść. — Pijaństwo sprawiło, że straciłem rodzinę, majątek i pracę. No, pracę nie całkiem. Mój szef łaskawie skierował mnie do najgorszej możliwej placówki, byle tylko odesłać mnie w diabły. Pracowałem dla korporacji mięsnej, Red Meats of Southern States. Mieliśmy hodowle w obu Amerykach. I wyobraź sobie, że również byłem dyrektorem. Co prawda niewielkiego oddziału w Wenezueli, ale pieniądze były dobre, a awans w zasięgu ręki. Ale, jak mówiłem, chłanie wszystko zepsuło.

San Fernando de Apure, kwiecień 1896

Steven Cole po raz kolejny próbował zmusić szefa do podpisania dokumentów. I po raz kolejny nieskutecznie. Co prawda Bloom jeszcze nie był nawalony, ale nie ulegało wątpliwości, że stan ten szybko się zmieni.

— Panie dyrektorze, musimy to mieć podpisane, bo inaczej nie będę mógł zapłacić hodowcom za żywiec. — Steven produkował się na darmo, to oczywiste. Ale musiał próbować. Nie chciał kolejnej śmierci w załodze, bo któryś z robotników znowu przez trzy miesiące nie dostał pensji. Chciał też, aby reszta pracowników biura nie miała wątpliwości, kto zawinił kolejnym problemom. — Szefie, dokąd pan idzie?

— Krecik stuka w taborecik — mruknął Jayden i zamknął się w łazience. Już miał wyjąć piersiówkę z kieszeni i się napić, ale z równowagi wytrąciło go walenie do drzwi.

— Poszli won! Wysrać się nawet nie dadzą.

Cisza zaległa tylko na chwilę.

— Czego znowu? — Tym razem dyrektor usłyszał nieregularne klekotanie, jakby ktoś trząchał workiem z kośćmi. Dźwięk powtórzył się kilka razy, a gdy zniknął, Jayden się odprężył i westchnął z ulgą. Głęboki chlupot oznaczał, że sprawa została załatwiona. Jeszcze tylko łyk z piersiówki i szybkie spojrzenie na zegarek.

— Finito — ucieszył się. W drodze do wyjścia napotkał błagalne spojrzenie Stevena, ale kompletnie je zignorował. Jedyne, co w tamtej chwili było ważne, to wizyta w sklepie.

To był wyjątkowo upalny kwiecień. Słońce wściekle piekło, jakby chciało wszystko usmażyć na skwarki. Suche powietrze jeszcze nie przyniosło powiewu pory deszczowej, na którą okoliczni mieszkańcy wyczekiwali jak zbawienia. Jayden miał to gdzieś. Upał mu nie przeszkadzał, ani odór zątecznego potu. Myślał sobie, że skoro i tak wszyscy śmierdzą podobnie, to po cholerę on miał tracić czas na kąpiele?

— Wykąpię się w deszczu — pomyślał i pchnął drzwi do sklepu Hernándezza.

— Señor, niech tam señor nie wchodzi. — Dziecięcy głos rozległ się spod stojącego obok wozu. Za przednim kołem krył się jakiś dzieciak i wielkimi oczami wpatrywał się w drzwi. — El Silbón wybrał sobie dzisiaj Hernándezza.

— O co ci chodzi, chico?

Jayden mieszkał w San Fernando de Apure niedługo, bo ledwie od roku. To wystarczająco dużo czasu, żeby dowiedzieć się tego i owego na temat tutejszych plotek, zwyczajów i legend. Jednak Amerykanin miał wszystko w dupie i nikogo nie słuchał. I na pewno nie miał zamiaru słuchać małego śmierdziela.

Po wejściu do środka, Jayden od razu zauważył siedzącą na ladzie postać. Był to wysoki i chudy człowiek. Nawet nie tyle chudy, co raczej przeraźliwie wychudzony, sama skóra i kości. Swoje posiniałe ciało okrywał jedynie starym, cerowanym płaszczem. Na widok tej groteskowej postaci, Jayden zamarł, jakby mu się wódka skończyła. Tymczasem stwór poderwał z blatu parciany worek i błyskawicznie doskoczył do Amerykanina.

— Spotkamy się, kiedy znowu wypijesz za dużo — oznajmił chrapliwym głosem i zaraz go nie było. W sumie ciężko powiedzieć, czy to coś wybiegło ze sklepu, czy może wyskoczyło przez okno? Równie dobrze mogło po prostu rozpląnąć się w stęchłym powietrzu. Jayden był wystarczająco dziabnięty, żeby nie zorientować się w sytuacji. Zauważył natomiast, że na podłodze leżał stary Hernández. Sklepikarz nie miał na sobie żadnej koszuli, co Jayden przyjął z obrzydzeniem.

— Cycki masz, hombre, jak łeb makaka — powiedział i bez żenady wziął z półki dwie butelki taniej aguardiente. Na odchodne położył na wzdętym brzuchu mężczyzny dwa banknoty.

— Masz, zapłacisz za nocleg w piekle. Pewnie tam będzie chłodniej.

Jak na zawołanie na zewnątrz zerwał się wiatr, który mógł zwiastować nadejście upragnionej pory deszczowej. Albo to Jaydenowi zrobiło się zimno, bo spadł mu poziom alkoholu we krwi.

— Niech pan ucieka, señor. Niech pan się pakuje i stąd odjedzie.

— Znowu ty, chico?

— El Silbón wybrał ciebie na następny raz.

Nowy Jork, maj 1921

— Cieszę się, że gówniaka nie posłuchałem. Oczywiście, z początku nie było mi do śmiechu, ale nie ma tego złego, co by na gorsze nie wyszło, prawda?

Frank Smithers nagle doznał olśnienia.

— Już pamiętam. Jesteś ten Bloom, którego posadzili w Wenezueli za zabójstwo, prawda? Tak, to ty! Wpierw doprowadziłeś do upadku hodowlę, a potem zgarnąłeś wszystko z kasy spółki.

— Proszę. Wystarczyło nieco przetrzeźwieć i od razu główka lepiej pracuje. Faktycznie, miałem już dość. Dość szefów, dość korporacji i bogatych palantów, którzy myśleli, że mogą wszystkimi pomiatać. No i skończyła mi się kasa na chłanie. Ale zabójstwo to nie moja wina. Asystent mnie zauważył, jak daję dyla z forszą. Zaczął wrzeszczeć, wzywać policję, no i się burdel zrobił, jakby piorun w kwietnik pierdolnął. W biurze panika, bałagan, więc ja w nogi. Steven stanął mi na drodze, wyminąłem go, a ten zamiast odpuścić, to pobiegł za mną. No i spierdolił się bidula ze schodów.

— Czyli za to skazali cię na śmierć. Jak żeś się wywinął?

— Sposobem, hombre, to i gołemu w kieszeń nasrasz.

San Fernando de Apure, maj 1896

W ramach ostatniego życzenia, Jayden zażądał trzech butelek mocnej wódki. Zwykle starczyły mu dwie, żeby się porządnie złoić, ale przecież okazja była wyjątkowa. Gdy zaczynał drugą, nalał też strażnikom więziennym, którzy z zazdrością patrzyli na piją-

cego skazańca. Po trzeciej flaszcze był już tak zrobiony, że nawet nie kojarzył, kiedy zawieszono mu pętlę na szyi. Z wykonaniem wyroku był pewien problem, ponieważ więzień nie mógł utrzymać się w pionie na stołku. Pomogli zaprzyjaźnieni strażnicy, z którymi wcześniej Amerykanin podzielił się dobrem.

— Vaya con Dios — powiedział jeden z nich i kopnął stół.

Z tamtej chwili Jayden zapamiętał dziwny klekot, jakby ktoś przerzucał ludzkie kości. Zapamiętał też, że zebrało mu się na haft, ale pętla zacisnęła się tak mocno, że wymiociny nie znalazły ujścia. Później było nagle przejaśnienie i chuda ręka na jego ustach. Jayden pił coś, co rozlewało się ogniem w ustach i w gardle.

Przebudzenie było dziwne. Nic nie bolało, ani nie piekło, a powinno. W pierwszej chwili Jayden pomyślał, że przecież już nie żył. Ale potem przypomniał sobie, ile w życiu narozrabiał, więc na niebo nie miał co liczyć. Po śmierci musiałby więc wylądować w piekle, ale tam z kolei nie mogło być aż tak miło, jak teraz. A zatem żył. Odkrycie potwierdziło się, kiedy podniósł głowę i spojrzał w dół.

Jayden leżał na trawie obok rozgrzebanej mogiły. Nie miał na sobie koszuli ani marynarki, a do brzucha coś mu się przyssało. Tym czymś była długoręka i nienaturalnie wychudzona postać.

— Hijo de puta! — wrzasnął Amerykanin. Chciał się wyrwać, ale obezwładniła go dziwna błogość. Ociężałe członki ledwo się ruszały.

— Nie wierzgaj, białasie — warknął chudzielec. Strasznie przy tym sepleniał, bo z ust wystawały mu długie, pokrzywione badyle. Część z nich tkwiła w brzuchu zmarłychwstańca. Jaydenowi zostało jedynie się modlić, ale nie wiedział jak.

— Co mi robisz, łobuzie?

Potwór uniósł zniecierpliwione spojrzenie.

— Prawdziwy białas. Durny jak kolek na wampira.

— Wampir? Jesteś wampirem? Ratunku! Ludzie! Pomocy!

— Wampir, srampir — burknął stwór.

— Już wiem. Jesteś el Silbón. Tamten dzieciak mi to przepowiedział. Kim, do cholery, jest el Silbón?

— Zawrzyj gębę. — Potwór wrócił do ssania, a Jaydenowi znowu zrobiło się błogo. Kiedy się ocknął, słońce wciskało się między szczelinę między niebem a ziemią. Pomarańczowe światło zmierzchu sprawiło, że twarz el Silbona wyglądała jak wysuszona pomarańcza. Stwór spacerował niespiesznie wokół ogniska, a na plecach taszczył worek wypchany podłużnymi, klekoczącymi przedmiotami.

Amerykanin zerwał się na nogi i zaczął obmacywać brzuch. Niczego niezwykłego tam nie znalazł, więc na wszelki wypadek sprawdził jeszcze szyję, pachy i pachwiny. A na koniec wsadził rękę w portki i pieczołowicie wymacał wszystkie części.

— Uciekaj — rozkazał el Silbón, a Jayden posłuchał. Nie miał zamiaru o nic pytać, nic go nie interesowało. Chciał tylko stąd zwiać, wrócić do Stanów i zrobić ze sobą cokolwiek, byle z daleka od tego śmierdzącego kraju i tego parszywego potwora. Puścił się biegiem najszybciej, jak potrafił. Było to jednak dalece niewystarczające, bo po kilku sekundach potwór stanął mu na drodze. Potem scenariusz powtórzył się kilkakrotnie. El Silbón zjawiał się obok za każdym razem, kiedy Jayden próbował uciekać w przeciwnym kierunku.

— Już nie mogę — wydyszał. — Rób swoje, przeklęty potworze.

— Siadaj i nie marudź. Chciałem ci pokazać, że nie masz ucieczki, ale nie chcę ci zrobić krzywdy. Jakbyś nie zauważył, pacanie, to właśnie wygrzebałem cię z grobu.

Musiał minąć dobry kwadrans, zanim Bloom otrząsnął się z szoku. A także aby odzyskał oddech.

— Dlaczego mi to robisz?

— Ktoś musi za mnie wór ponosić.

Nowy Jork, maj 1921

Frank Smithers nie wierzył w wampiry, ani w inne tego typu niestworzone historie. A już na pewno nie wierzył w zmartwychwstanie skazańca. Nie chciał jednak drażnić swego oprawcy, więc uznał, że najlepiej będzie udąć zainteresowanie opowieścią.

— To niewiarygodne! — zdziwił się. — Co to za stwór?

— Z tego, co Silbón opowiadał, a opowiadał dużo i bez przerwy, zrozumiałem, że kiedyś był normalnym człowiekiem. Wychował się w biednej rodzinie na wenezuelskiej wsi. Sam o sobie mówił, że jako młodzieniec był podły i arogancki. Pewnego razu zażądał ugotowania specjalnej potrawy i wściekł się, kiedy ojciec mu odmówił. A odmówił, bo nie było go stać na drogie składniki. Wtedy Silbón dużo już pił i nie kontrolował napadów złości. Pokroił więc ojca na kawałki, a potem dał matce do usmażenia wątrobę i serce. Wątrobę i serce ojca, oczywiście.

— Potworność. — Frank udał zgorszenie.

— Kiedy matka się dowiedziała, że podroby należały do ojczulka, to wezwała dziadka na pomoc, a ten postanowił ukrócić wybryki młodzieńca. Wpierw go wybatożył, potem na rany polał soku z cytryny i posypał solą. Żeby całości dopełnić, przeklął

wnuka i kazał mu po wieczność włóczyć się po świecie z workiem kości swego ojca. To miała być dla Silbóna pokuta. Od tamtej pory stał się pół żywym stworem.

— Co za bzdury! — wyrwało się Frankowi, czego natychmiast pożałował. Na szczęście Jaydena wcale to nie poruszyło.

— Też tak myślę. Za każdym razem opowieść była trochę inna. Czasem mówił, że dziadek poszczuła go myśliwskimi psami, innym razem, że trzymał go przez rok w lochu i nie pozwalał zagoić się plecom.

— Ile czasu musiałeś to znosić?

— Zdaje mi się, że jakiś rok. I powoli zaczynałem tego mieć dosyć. Najgorszy był ten wór z kośćmi. Musiał ważyć ze trzydzieści funtów.

Jayden zrobił krótką pauzę, po której opowiedział o najbardziej kontrowersyjnym elemencie wędrówki.

— Oczywiście raz na jakiś czas chudzielec potrzebował się napić.

Achaguas, listopad 1897

El Silbón wstał i wytarł usta. Patykowate przyssawki schowały się w szczelinę między dziąslami a zębami. Jayden patrzył na to jak przez mokłą szybę. Kręciło mu się w głowie, ale dziwna i nienaturalna błogość powoli opuszczała skołowany umysł. Wstał, otrzepał się i zarzucił worek z kośćmi na plecy.

— Coś taki cichy? — zaciekawiał się Silbón.

Jayden nie odpowiedział. Po prostu ruszył przed siebie, zirytowany i zrezygnowany. Potrzeba było długiego nagabywania, aby wreszcie wyrzucił swoje pretensje.

— Dostyc mam tego! Co my tu robimy? Dokąd my leżymy? Tak się będziemy po wieczność szwendać w kółko? Będziemy do usranej śmierci napadać pijaczków i wysysać z nich, co dobre? Dostyc tego, kurwa mać!

— Śmierć, compadre, już nie czeka na ciebie.

Jeśli Silbón oczekiwał, że zrobi w ten sposób na towarzyszu wrażenie, to głęboko się pomylił. Na myśl o wieczności w towarzystwie wampira, Jayden zrzucił worek i mocnym sierpowym powalił potwora na ziemię. Potem stanął nad nim w triumfalnej pozie, a w głowie przerabiał różne scenariusze na to, co powinien zrobić dalej. Zdecydował się na kontynuację mordobicia, ponieważ okładanie chudzielca pięściami sprawiło Amerykaninowi ogromną przyjemność.

— Dość! — krzyknął zniecierpliwiony potwór, a wtedy jakaś niewytłumaczalna moc odrzuciła Jaydena na bok. — Posłuchaj no mnie, beznadziejny pijaczyno. Masz robić,

co ci każe, dopóki będę miał na to ochotę. A jak mi się ochota skończy, to wyssię z ciebie wszystko, co się da i dopiero wtedy się zdziwisz.

W odpowiedzi Jayden zaczął po prostu płakać.

— Co za miękka faja. Wstawaj, palancie i słuchaj mnie dalej. Wytrzymałeś ze mną bez fochów dłużej niż ktokolwiek inny, dlatego mam dla ciebie nagrodę. Idziemy.

Okazało się, że nagroda czekała w mieście Achaguas, a konkretnie w jedynym hotelu, jaki można tam było znaleźć. Towarzysze w ssaniu poczekali, aż się ściemni i wtedy zakradli się do apartamentu. A tam, na łóżu małżeńskim, chrapał sobie w najlepsze jakiś grubas. Śmierdziało od niego wodą na milę.

— To Señor Briceño. Właściciel tysięcy hektarów ziemi i wielu plantacji. Prawdziwy bogacz. Proszę. Bierz go.

Zaskoczony Jayden podszedł do łóżka i klęknął obok, ale nie rzucił się od razu na ofiarę. A trzeba zaznaczyć, że pragnienie doskwierało mu coraz bardziej.

— Sam mówiłeś, żeby nie tykać bogaczy — szepnął — bo z tego mogą być same kłopoty. Że ich pilnują ludzie, że badają lekarze i tak dalej. Łatwo o wpadkę.

— Prawda. Ale musisz też wreszcie zrozumieć, dlaczego. Bierz i pij z niego, zanim wywietrzeje.

Typowa dla Amerykanów ciekawość świata wzięła górę. Bloom wysunął aparat ssąco-kłujący i zatopił wypustki w ciele obszarnika. Wystarczyła krótka chwila, aby zrozumieć, co El Silbón miał na myśli. Uczucie sytości rozlało się w ciele Jaydena o wiele szybciej, niż kiedy napadał zwykłych pijaków.

— Nie wychleję całego — przestrzegł potwór. — Zostaw na inny raz.

Jayden niechętnie opuścił apartament. Esencja señora Briceño okazała się nie tylko smaczna i pożywna, ale ostra jak papryczki. Było w niej coś więcej, coś nieuchwytnego. Coś, co powodowało, że w rękach czuło się wielką moc, a umysł wypełniała jasność.

Nowy Jork, maj 1921

— Dlaczego ten był lepszy? Bo był bogaty?

Frank uznał, że wciągnął Blooma w rozmowę na tyle, że mógł ostrożnie rozejrzeć się za drogą ucieczki. Na stoliku obok kanapy dostrzegł aparat telefoniczny. Gdyby tak udało się do niego jakoś dostać i zadzwonić na recepcję, to może znalazłby się ratunek.

— Myślę, że to dlatego, że bogacze są podli. Ich dusze są przeżarte chciwością i dlatego lepiej smakują. Cynizm, arogancja, matactwo to przyprawy, które dają ostry i wyrazisty smak. A poza tym lepsze gatunki...

Jayden nie dokończył, bo Smithers rzucił się do stolika i uderzeniem barku zrzucił telefon na podłogę.

— Ratunku! Pomocy! Porwali mnie!

Bloom patrzył na to z rozbawieniem i dopiero po chwili skojarzył, że w hotelu nie trzeba było wykręcić numeru, aby połączyć się z recepcją. Wystarczyło podnieść słuchawkę i poczekać na zgłoszenie obsługi. Bardziej zniecierpliwiony niż zdenerwowany, Jayden podszedł do jeńca i z łatwością usadził go z powrotem na kanapie.

— Zawrzyj otwór gębowy, amigo.

Nikt z recepcji nie zdążył zareagować na wezwanie z apartamentu, ale na wszelki wypadek Amerykanin odłączył aparat od gniazdka sieciowego.

— Bądź cierpliwy. Do świtu została ledwie godzina. Wtedy będziemy kończyć.

Frank zrobił wielkie oczy na myśl o tym, jak niewiele czasu mu zostało.

Caracas, styczeń 1898

Pijaczyna trafił się w ciemnym zaułku. Jayden wypompuwał z niego niemal wszystko, co się dało, ale nie poczuł się nasycony. Zwykli ludzie przestali zaspokajać jego potrzeby, odkąd posmakował bogatego señora Briceño. El Silbón zauważył zmianę w zachowaniu towarzysza.

— Nie świruj, hombre, bo będą kłopoty — ostrzegł. — Szczególnie teraz, niedaleko stolicy.

Wampir uparł się, żeby polować tylko na przedmieściach Caracas. Jego zdaniem wielkie miasto stanowiło zagrożenie.

— Za dużo tam ludzi, za mało miejsca, a jeszcze policja się kręci — tłumaczył. Jayden miał zupełnie inne zdanie, dlatego postanowił zaryzykować.

El Silbón nie spał jak normalny człowiek, ale również potrzebował odpoczynku. Dlatego kiedy czuł się znużony, znajdował sobie odpowiednie miejsce, najlepiej wysokie drzewo albo wysoki mur. Chował się wtedy w cieniu, dzięki czemu stawał się praktycznie niewidoczny. Trwał w pozycji pionowej dobre pięć, sześć godzin a potem jak nowonarodzony ruszał dalej w drogę. Było to zdecydowanie za mało czasu, aby niepostrzeżenie dostać się do miasta, napić i wrócić, ale głód okazał się silniejszy. Jayden miał dość pijaczków. Chciał znowu poczuć siłę, jaką dało wyssanie esencji milionera.

Wykorzystał więc pierwszą lepszą okazję, aby zbiec do miasta, kiedy Silbón udał się na spoczynek.

*

Bloom nie czuł się zagubiony w Caracas. Bywał tu swego czasu, aby załatwiać formalności, związane z hodowlą bydła. Wiedziony instynktem, a może raczej głodem, udał się do siedziby spółki, dla której dawniej pracował. Nie bardzo miał pomysł, gdzie indziej mógłby znaleźć bogaczy, których podły charakter wzbogacał bukiet smaków.

Tak się złożyło, że pod biurem protestowała grupa llaneros, hodowców i pasterzy bydła, którzy stanowili bazę całego procesu produkcji. Bez ich udziału spółka nie wyprodukowałaby ani grama mięsa, ani nawet pół kosteczki. I pewnie dlatego, że byli najważniejsi, dostawali głodowe stawki, a ich prawa regularnie ignorowano. Jayden wiedział o tym doskonale, ponieważ przez lata sam był częścią tego procesu. Nie znaczy to, że miał jakiś sentyment do krajanów, ani tym bardziej do pracy w spółce, ale z okazji skorzystał jak najbardziej. Wmieszał się w tłum rozgorączkowanych mężczyzn i dostał się do budynku przez tylne wejście.

W biurach panowała napięta atmosfera. Szeregowi pracownicy wykonywali rutynowe obowiązki, ale krzyki protestujących nie pozwalały się skupić. Niektórzy wręcz bali się o swoje zdrowie, bo zdarzało się już, że wściekli llaneros forsowali wejście i demolowali biura. Szefostwo miało to wszystko gdzieś. Na ostatnim piętrze w najlepsze trwało przyjęcie, na którym dyrektorzy oraz ich goście testowali wyborne wenezuelskie wina. Specjalnie zaproszeni sommelierzy dwoili się i troili aby dogodzić klientom.

Jayden zapamiętał rozkład pomieszczeń, dlatego dotarł na samą górę bez problemu. Po drodze starał się opracować jakiś sprytny wybieg, który pozwoliłby takiemu biedakowi jak on, dostać się na imprezę wyższych sfer. Nic mu nie przyszło do głowy, więc pozwolił, aby poprowadził go głód. Kiedy już Bloom dotarł na ostatnie piętro, bez namysłu odepchnął portiera i kopniakiem otworzył drzwi do salonu. Na widok spocznego obdartusa goście westchnęli z obrzydzeniem. Któryś tam z prezesów ruszył w stronę wejścia, aby przepędzić biedaka, ale zatrzymał go nagły wrzask.

— Duch! — rozległ się piskliwy głos. — Duch skazańca!

Wśród zgromadzonych zapanowała konsternacja, ponieważ wielu z nich jak najbardziej uznawało istnienie sił nadprzyrodzonych. Jakby nie patrzeć, seanse spirytystyczne były przecież hitem salonowej rozrywki.

Najbardziej zdezorientowany zdawał się być sam Jayden, ale szybko pojął, że został rozpoznany przez dawną współpracowniczkę.

— Pani Horton, to ja, nie żaden duch — oznajmił, aby uspokoić nastroje.

— Panie dyrektorze, to upiór Jaydena Blooma — wyjąkała przerażona kobieta.

Pani Eveline Horton wytłumaczyła wszystkim zainteresowanym, że oto stanął przed nimi duch człowieka, którego skazano na śmierć za zabójstwo. Według potwierdzonych informacji, wyrok wykonano skutecznie.

— On nie może być żyw. Ludzie, ratujcie się! To upiór!

Okrzyk sekretarki wywołał żywiołową reakcję. Speszzone kobiety zaczęły opuszczać salę, a ich mężowie przyjęli zniesmaczone miny, aby ukryć swój strach albo dyskomfort, zależnie od tego, który z nich bardziej wierzył w duchy. Tymczasem Liam Corden, dyrektor i założyciel spółki Red Meats of Southern States, niepewnym krokiem wystąpił przed zgromadzonych. Trochę już się kiwał i musiał zmrużyć oczy, żeby odzyskać ostrość obrazu. A kiedy już się to udało, zaniósł się głośnym śmiechem.

— Ale numer! Świeł...na inss... senizacja! — Corden trochę bełkotał, bo wypił już przynajmniej jedną całą i pół drugiej butelki brandy. Wciągnął Blooma do środka i podał kieliszek wina.

— Świet...ny achtor... achtorsfo jak z holi... holiłud! Na sstrowie!

Goście zatrzymali się i z zaciekawieniem obserwowali rozwój sytuacji. Wtedy właśnie Jayden poczuł woń byłego szefa. W aromacie dominował słodki i przepyszny zapach sfermentowanych winogron.

— Na zdrowie — odparł Bloom. Trzęsącą ręką odstawił kieliszek na tacę kelnera i przestał się hamować. Powalił Cordena na stół, wysunął aparat ssąco-kłujący i wgrzyzł się w brzuch dyrektora.

— Ssud... sudownie! Sso sa roskosz! — Rozanielone jęki dyrektora zupełnie zaskoczyły tak samo gości jak i Jaydena. Ten jednak nie zastanawiał się nad stanem emocjonalnym ofiary, bo sam wpadł w euforię. Esencja podłego i obrzydliwie bogatego pijaka rozpalala przelyk, pompowała moc w mięśnie i wyostrzała zmysły. A to był dopiero początek. Jayden nie miał zamiaru poprzestać na jednym antałku. Kiedy wyszał z Cordena wszystko, co się dało, obrzucił spojrzeniem gapiów i zidentyfikował kolejną ofiarę. Juliana Wilkinson, żona prezesa kalifornijskiej filii miała w sobie imponującą ilość promili, co Bloom wyczuł bezbłędnie. Natychmiast rzucił się w jej kierunku, przewrócił na posadzkę i zaczął pić. Kobieta zareagowała podobnie, jak poprzednik. Wiła się w rozkoszy i jęczała, jakby zaraz miała szczytować. Wszystko to najwyraźniej spodobało się gościom, ponieważ zaczęli tak jakby ustawiać się w kolejce.

Jayden czuł się jak potężne bóstwo. Po szóstej osobie energia wypełniła każdą komórkę jego ciała. I tylko dzięki nienaturalnie wyostrzonym zmysłom zdążył zareagować, kiedy pojawiło się zagrożenie.

— Parszywy gnoju! — krzyknął El Silbón, kiedy wpadł do salonu przez okno. Wampir od razu ruszył przed siebie, roztrącając zdezorientowanych gości. Widok wychudzonego potwora w akcji spowodował wybuch paniki.

— Teraz ty będziesz moją dziwką! — Bloom czuł się niezwyciężony i bez namysłu rzucił się do walki. Pośród krzyków przerażonych ludzi i trzasku łamanych stołów, El Silbón i Jayden miotali sobą na wszystkie strony, okładali się pięściami, gryźli i kopali. Ale walka nie wyglądała na wyrównaną. Napompowany mocą swoich ofiar, Amerykanin szybko przejął inicjatywę. Powalił przeciwnika na plecy, przygniótł własnym ciężarem i wbił badyłowate ssawki w brzuch El Silbóna.

— Spompuję cię, jak dziwka kutasa — wyseplenił Jayden i pociągnął solidny łyk. Wampir nie protestował, tylko uśmiechał się złośliwie.

— Wyświadczasz mi przysługę.

Jayden nie miał zamiaru przejmować się majakami chudzielca. Szybko i bez problemu opróżnił go do dna.

— Teraz twoja kolej — szepnął El Silbón i zgasł. Po chwili z jego ciałem stało się coś niezwykłego. Szara i pomarszczona skóra ściągnęła się, ręce skurczyły, a twarz złągodniała. W miejscu wychudłego potwora, leżał teraz rachityczny nastolatek. Bloom stał na truchłym chłopaka i napawał się własną mocą.

Nowy Jork, maj 1921

Za oknem słońce próbowało wychylić się ponad ścianę nowojorskich wieżowców. Pierwsze klaksony rozdarły poranną ciszę, a furmani rozpoczęli codzienną litanię przekleństw w kierunku śmierzących samochodów. Tego typu poranki Frank Smithers oglądał zwykle od drugiej strony, dopiero kładąc się spać. Jednak tym razem nie dość, że nie spał, to jeszcze drżał w obawie o swoje życie. Ewidentnie miał przed sobą wariata.

— I teraz myślisz, że sam jesteś wampirem? — Frank wpatrywał się w oprawcę wielkimi oczami.

— El Silbón dał mi nie tylko siłę, ale również klątwę. Okej, przynajmniej nie muszę nosić jego wora, ale poza tym tak. Zwykle jedzenie nic mi nie daje. Nie mogę niczego pić. Woda przez mnie przelatuje. Żyję tylko dzięki takim ludziom jak ty.

Rozmowę przerwał chrobot klucza w zamku. Amanda Smithers ostrożnie weszła do apartamentu. Na jej ustach błąkał się durnowaty uśmieszek, a nogi zdawały się pracować niezależnie od reszty ciała.

— Kochanie! Uciekaj! To wariat! Chce wypić twoją krew!

— Krew? A na cholerę mi wasza krew? — zdziwił się Jayden. Wyglądał na trochę rozbawionego. — Jeszcze nie pojąłeś, amigo? Mnie interesuje to, co żeście wychlali, wy beznadziejne moczymordy. — Amerykanin ruszył w stronę pijanej kobiety, która powoli się orientowała, że coś tu nie grało.

— Chochanje, a sso to za pan tu szszszedł?

Jayden rozmyśl w oczach, dopadł do Amandy i wgryzł się w jej brzuch, zanim zdążyła cokolwiek zrobić. A potem było tak, jak w opowieści. Jęki rozkoszy, siorbanie i mlaskanie. Frank szlochał i protestował, ale nic nie wskórał.

— Dobrze nawalona — ocenił wampir i podniósł się znad kobiety. — Głównie whiskey, trochę szampana. Pyszna. Teraz twoja kolej.

Smithers rzucił się na podłogę i zaczął pełzać w kierunku półprzutomnej żony.

— Jeszcze, proszszsz... — majaczyła.

Frank poczuł szarpnięcie i z powrotem wylądował na kanapie. Tym razem na plecach.

— Leż spokojnie — powiedział Jayden. — Na kilka dni odechce wam się chłania, ale nie przejmuj się. To wróci. Gdybym was do końca wyssał, wtedy nabrałibyście wstrętu do wody na całe życie. Ale nie zrobię wam tego, nie jestem potworem. Wróćcie do swoich nawyków, a wtedy znowu was odwiedzę.

— Pójdę na policję!

— Niczego nie będziesz pamiętać. A teraz na zdrowie.

*

Panna Melisa Berkley lubiła swoją pracę, a to tylko dzięki jej szefowi. Jayden Bloom był wyjątkowym mężczyzną. Wszystkich w biurze traktował z poważaniem i nawet pozwalał kobietom awansować do stanowisk zarządczych. Tylko pijaków zupełnie nie trawił, a sam nie pił wcale.

— Panie dyrektorze. Oto zestawienie za ostatni kwartał — oznajmiła Berkley, podając za szefem wzdłuż korytarza. — Zaznaczyłam miejsca do podpisu. Aha, jeszcze przyszedł przyjaciel burmistrza Hylana.

Jayden zajrzał w teczkę z dokumentami i powiedział:

— Jak zwykle świetna robota, panno Berkley. Proszę zaparzyć kawy dla gościa.

W gabinecie czekał gustownie ubrany jegomość.

— Nazywam się William Hearst, prowadzę Hearst Communications.

Bloom ucisnął dłoń gościa i wziął głęboki wdech. Bezbłędnie wyczuł szklankę whiskey sprzed czterdziestu pięciu minut, dwie szklanki sprzed obiadu i jeszcze jedną z samego rana. W zapachu Hearsta kryło się również pragnienie wypicia znacznie większej ilości, jeśli tylko uda mu się dotrwać w miarę trzeźwo do wieczora.

— Witam, panie Hearst — powiedział Jayden z szerokim uśmiechem. — Bardzo się cieszę, że pana poznałem.

Koniec

Mam nadzieję, że opowiadanie przypadło Wam do gustu. A jeśli tak, to możecie docenić moją twórczość stawiając mi kawę:



[LINK](#)

Dziękuję bardzo!